Rok III   Styczeń-czerwiec 1932   Zeszyt 1-3

ZŁOTA NIĆ

Czasopismo młodzieży

I Pryw. Seminarjum N. Ż. im. Bł. Kingi w Tarnowie

Wychodzi co drugi miesiąc

Pojedynczy zeszyt kosztuje 50 gr

Nakładem „Gminy Szkolnej“ I Pryw. Sem. N. Ż. im. Bł. Kingi w Tarnowie
Odpowiedzialna Redaktorka: Łącka Stefanja, Tarnów, ul. Tertila l. 18

Drogie Koleżanki!

Ostatni raz przed wakacjami zjawia się przed Wami „Złota Nić".

Przeprasza Was serdecznie zato, że tak długo milczała, — ale tak się jakoś ciężko warunki ułożyły. Proszę nie winić jej, nie sądzić zbyt ostro!

Dziś znowu oto uśmiecha się do Was i zapytuje, co u Was „nowego" słychać.

Praca wre wszędzie — i u Nauczycielek na posadach, i u Maturzystek, bo matura była na karku. — Szczęście, że przeszła!

Wre praca i u nas szarych uczennic, szczególnie na czwartym kursie, odkąd stałyśmy się „najstarszemi osobami" wśród uczennic w Zakładzie, bo to i dobry przykład dawać musimy i utrzymywać porządek wśród młodszych koleżanek i wogóle... Zresztą Koleżanki-Nauczycielki doskonale to rozumieją, prawda?

Uczymy się pilnie od czasu, kiedy „kasztany zakwitły", bo koniec roku szkolnego się zbliża, zbieramy na gwałt wiadomości, bo przecież musimy się dobrze przygotować do przyszłego zawodu. Chcemy czynić tak, jak zachęca nas jedna ze starszych Koleżanek, która pisze w swym liście:

> *„Skrzętnie notujcie w pamięci wszystko, czego was uczą; nie pomijajcie żadnej sposobności, by się czegoś dobrego nauczyć, bo ani pojęcia nie macie, jak wszystko się przyda i ile musi umieć nauczycielka, zwłaszcza nauczycielka na wsi".*

To się rozumie doskonale na posadzie, — a teraz w szkole różnie się „zdaje".

Tak zawsze bywa — no — proszę się przyznać!

W tej, nad wyraz żmudnej pracy, rozweselają nas wycieczki, urządzane teraz często — wycieczki „przyjemnościowe", naukowe i harcerskie.

Otuchy i sił do pracy dodają nam serdeczne listy Koleżanek-Nauczycielek, przez gorące słowa, mówiące o ich przywiązaniu do szkolnego pisemka, przez słowa uznania i gorącej zachęty. — I wierzcie mi Drogie Koleżanki-Nauczycielki, że jeden taki list wynagrodzi stokroć trud, poniesiony dla „Złotej Nici", zagoi... ból czy smutek, doznany z powodu obojętności niektórych koleżanek, słowem daje nam dużo szczęścia.

Za te listy dziękuję Wam serdecznie!

Ale proszę nie tylko o listy...

Proszę Was gorąco jeszcze o... artykuły do gazetki. Przecież możecie nam napisać „cuda" o swoich dzieciach, coś ze swej

praktyki. A szczególnie z tą serdeczną prośbą zwracam się do Koleżanki z Wołkowyska o zajęcie się działem pedagogicznym naszego pisemka. — Dobrze?

Możemy się spodziewać coś na drugi rok szkolny?

Bardzo wszystkie prosimy!

Kiedyś i my napiszemy coś w tym zakresie od siebie — coś o naszych lekcjach, gdy będziemy na V kursie.

Cieszę się ogromnie, że „Złota Nić“ spełnia swoje zasadnicze zadanie, że łączy ściślej i cieplej wszystkie wychowanki naszego Zakładu, że pomogła Wam, Koleżanki-Nauczycielki, do nawiązania znowu ścisłych stosunków ze Szkołą, że odżyły w Was wspomnienia życia szkolnego z nową siłą, otrząsły się może niejednokrotnie z ciężkiej powłoki, zabijającej je, a utworzonej przez czas, a może i cierpienie... Może nieraz „Złota Nić“ odgrzebała z popiołów te wspomnienia i wróciło do Was tchnienie radosne Waszej Szkoły, Waszych Wychowawców.

Skończył się II-gi rok naszej ideowej pracy

„Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy“,

abyśmy mogły rozpocząć pracę z rokiem następnym, pracę jeszcze więcej intensywną i abyśmy wszystkie stanęły w szeregach ofiarnych pracowniczek dla ukochanej sprawy.

Dziś „Wesołych wakacyj“

życzy wszystkim

Redaktorka.

Moja pierwsza lekcja

Więc to już? Tak długo wyczekiwana, wymarzona w myślach chwila zbliża się. Za kilka dni mam prowadzić pierwszą lekcję. Temat lekcji uporczywie towarzyszy mi wszędzie, zagląda natarczywie w oczy — to gdzieś z ponad książki, to z nad zeszytu, to nawet kładzie się spać ze mną.

Wreszcie surowy wzrok naszego „Dziadka“ przebiega po trochę powyginanych ze wzruszenia literach elaboratu.

Poruszam się jak w półśnie. Oczy błądzą po ziemi, drzewach, domach, parkanach, niebie, czy przypadkiem nie ujrzy się jakiegoś „poglądu“, konkretu, pomocy naukowej...

No, a teraz wyuczenie się elaboratu. Zamykam się „ściśle“ w pokoju, staję przed lustrem, rozkładam wokoło rozmaite przed-

mioty, jak: kwiaty, flaszeczki, książki, krzesła i t. p., nadaję im imiona i zaczynam. Jakiś profan, spoglądający może przez dziurkę od klucza, powiedziałby, że ta biedna seminarzystka z pewnością z nadmiaru nauki dostała „pomylenia".

No, próba się udała, „uczennice" mnie nie „zasypały", ale jak będzie jutro?

...I oto już stoję na środku klasy, a serce bezustannie puka. To już, to już.

Ciekawie wlepione we mnie oczęta dzieci przypominają, że trzeba już zacząć. Wytężam całą moją wolę, serce szepce: „W Imię Boże!" i pada pierwsze pytanie. To najgorzej. Potem płynie jedno po drugiem, jedno po drugiem, a ja czuję się tak, jakbym już od szeregu miesięcy uczyła

Wyłaniają się trudności, ale wnet ustępują.

...I znowu staje pytanie: „To już?", jaka szkoda, że się już godzina kończy!

Poważne skinienie głowy p. Inspektora (z tym sfinksowym uśmiechem) oznajmia „zdegradowanej p. nauczycielce", że lekcja się podobała i swój cel osiągnęła.

O! jak teraz lekko, radośnie!

Jedna godzina, a tyle pozostawia niezatartych wrażeń.

E. K., IV k.

Nie-metodyczna lekcja

(Garść spostrzeżeń z mojej praktyki w szkole ćwiczeń).

Już piąta kartka zeszytu, zwinięta w kulkę, wpada pod piec. Nie mogę dziś napisać planu lekcji! I poco brałam to zastępstwo! A może przeprowadzić jedną z tych lekcyj, o których czytałam, a które tak żywo stają mi w wyobraźni. Nie będzie jej przecież nikt słyszał, ani o niej wiedział, bo to zastępstwo.

Dziewczynki swobodnie rozmawiaja, żywsze czynią to nawet głośno, śmiejąc się. Trudno byłoby mi teraz uspokoić je. Nie czynię więc tego, ale podchodzę do płaszcza i wyjmuję zawiniątko. „Och! jaka piękna chustka" — wyrywa się okrzyk dziewczynki. Ustają rozmowy i wszystkie oczy zwracają się na piękną czerwoną chustkę. Chustka wędruje od ławki do ławki. Każda pragnie dotknąć miękkiego materjału, pogładzić go. Z uśmiechem przechodzę po klasie.

„Jakie piękne róże na tej chustce, jak żywe! Ja taką chustkę widziałam na wsi, na weselu! Ona jest taka czerwona jak maki w zbożu". Rozbrzmiewają swobodne uwagi.

Chusta leży już na stole, rzucona od niechcenia. Dziewczynki patrzą na mnie ciekawie. I znów okrzyk zachwytu: „To liście klonu, te złote. Pamiętasz, jak wdziewałyśmy te motylki klonu na nos. Ale jak te liście zasuszone, nie w książce, boby były proste. U nas rośnie dzikie wino, ale już pierwszy mróz zmroził je i listki opadły. Na drugi rok zaszuszę sobie całą gałązkę. Takie piękne złote i purpurowe liście".

– A może narysujecie kilka z nich na tablicy? Która chce? Wnet tablica pokrywa się rysunkami.

A jakże jest na polach i w lesie, gdy złote liście padają, a jarzębina stroi się w korale?

Twarzyczki dziewczynek jakby rozmarzone, szeroko otwarte oczy nie widzą szarej, mroźnej, ale bezśnieżnej zimy.

„Ach, wtenczas jest jeszcze ciepło! Drzewa mają takie piękne liście. Słońce prawie zawsze zachodzi czerwono, – a na polach pełno babiego lata".

Smutno, bo coraz puściej – opowiadamy sobie. Nie mam już nic do pokazania, ale coś wam przeczytam:

„Pod jesienną złotą zorzą
Żórawie leciały,
I z szerokiem pustem polem
Smutnie się żegnały.
Hej, szerokie, puste pole,
W sinych mgłach stojące,
Czekaj ty nas, jak zaświeci
Znów majowe słońce".

Czytam powoli, głosem zniżonym.

Jedne z dziewczynek znają ten wiersz, bo uśmiechają się lekko i słuchają spokojnie oparte.

Inne pochyliły się naprzód i słuchają ciekawie, a oczy ich jakby patrzyły na obraz.

Dziewczynki czytają raz i drugi. Każda stara się przeczytać pięknie. Naśladują mój ton i akcent.

Jest cicho.

Patrzę na nie i myśli cisną mi się stłoczone.

Dobrze, że nie przyniosłam im wypchanego żórawia.

Dobrze, że nie omawiałam jego budowy, czem się żywi, kiedy odlatuje, ani przekonywałam, jak smutno żegnać kraj i lecieć za sine morze – – –

Janka K.

P. Emil Zagadłowicz w Tarnowie

„We środę, t. j. 1 czerwca będzie gościł w Tarnowie poeta, P. Emil Zegadłowicz. Będzie miał wykład o Wyspiańskim. W wykładzie weźmie udział cały kurs 3 i 4."

Tak nam oznajmił tę wieść dzień przedtem Ks. Dyrektor. Przyjęłyśmy ją z entuzjazmem i podniecone zaczęłyśmy „krzyczeć" na ten temat.

Poeta Zegadłowicz... Nie znamy go dobrze, ale przecież słyszałyśmy o nim. Kiedyś nawet w zimie czytałyśmy na przerwach wesołe epizody z „Żywotu Mikołaja Srebrempisanego" i dzięki P. Zegadłowiczowi zapominałyśmy o strachu przed „trudną" godziną.

Ale wtedy nie marzyłyśmy nawet o tem, że go kiedyś zobaczymy na własne oczy.

Przyjechał i szczęśliwe jesteśmy, że zobaczyłyśmy jego pogodne, szlachetne obliczee i uczestniczyłyśmy w tej biesiadzie literackiej, jaką był wykład poety o poecie-malarzu.

Na naszym kursie nie znamy jeszcze gruntownie Wyspiańskiego; wykład wyświetlił nam wiele nieznanych rzeczy z jego bogatej działalności, dał nam bardzo dużo.

Przed oczyma naszemi jawił się nietylko władca dramatu polskiego ze swem „Weselem", ale natchniony wieszcz państwowości polskiej, który dla śnionego, wolnego państwa budował zdobny dom...

Żadna dziedzina życia polskiego nie była mu obcą, ni obojętną. — Dusze słuchaczek wchłaniały w siebie potęgę, zaklętą jużto w słowach, jużto w obrazach-witrażach tego „renesansowego" poety-obywatela. Niewyczute dotąd piękno zewnętrzne książki polskiej, czcionki rodzimej, sprzętu swojskiego — budziło podziw dla Mistrza i rozszerzało duszę...

Przemówienie P. Emila Zegadłowicza było jednym gorącym hymnem na cześć Wyspiańskiego.

Mówi P. Zegadłowicz o Wyspiańskim przedewszystkiem dlatego, że jest niejako ogniwem, które łączy minione pokolenie twórców z nami, a może i pośród nas „w tych ławkach siedzi przyszły wielki „twórca"...

I nasze pokolenie okaże się godnym spadkobiercą kultury wielkich ludzi i dalej poprowadzi ich pracę, realizując ich ideały.

Burzliwe, niemilknące oklaski...

Po odczycie poprosiłam P. Prelegenta o napisanie dwóch słów dla „Złotej Nici“ na podsuniętej karcie. P. Zegadłowicz, z jasnym uśmiechem na wiecznie pogodnej twarzy, skreślił mi te serdeczne słowa:

„Złotej Nici“ — Szczęść Boże w pracy! Podawać wielkość myśli i uczuć pokoleniom coraz dalszym — oto wielki i szlachetny cel. — Tarnów dnia 1/VI 1932 r. —

Emil Zegadłowicz.“

Swym uściskiem dłoni zaznaczył, że pamiętać powinniśmy o tem zawsze i że umiłować trzeba nadewszystko ten „wielki i szlachetny cel“.

BOŻE CIAŁO

ROZKOŁYSAŁY SIĘ KOŚCIELNE DZWONY —
Z POD BALDACHIMU, W KADZIDEŁ OBŁOKACH
W BIAŁYM OPŁATKU JEZUS UTAJONY
JAŚNIEJE — JAKO GWIAZDA W ZIEMSKICH MROKACH.

CHYLĄ SIĘ GŁOWY I USTA SZEPTAJĄ
SŁOWA MIŁOŚCI, SZCZĘŚCIA, UWIELBIENIA,
RAZEM Z KWIATAMI SERCA MU SKŁADAJĄ —
MODLITWY, TROSKI I SWOJE CIERPIENIA.

A JEZUS PATRZY, SŁYSZY, BŁOGOSŁAWI...
I SERCE LUDZKIE WIE, ŻE JEST KOCHANE,
WIE, ŻE JE CHRYSTUS OD ZŁEGO WYBAWI
I DA MU SZCZĘŚCIE NA ZIEMI NIEZNANE.

Eka

Próba przeciwgazowa

Przeszło od dwóch miesięcy żyła ludność tarnowska w ciągłem, mrożącem krew w żyłach — oczekiwaniu na próbę „przeciwgazową“ ... jak na smoka o stu głowach.

Miało to być coś okropnego! Mieszkańcy bocznych ulic miasta przedewszystkiem polepili solidnie okna paskami zapomocą żytniej mąki, przeciw gazom.

Im dłużej czekano, tem więcej rosła obawa przed próbą; wkońcu doszła do tak kolosalnych rozmiarów, że niektórzy mieszkańcy miasta, szczególne żydzi, wyjechali „na wieś“ do krewnych. Mówiąc między nami, wspomnę, że było to zamiarem i niektórych starszych koleżanek, ale cóż robić kiedy — matura... każe się uczyć.

Przyszedł wreszcie po „ciężkich, a długich“ oczekiwaniach ów niezatarty w pamięci dzień 31 maja 1932 r.

Po południu miał być atak na Mościce, a potem na Tarnów. Szkoła nasza przemieniła się w wieżę obserwacyjną. „Grubsze ryby“ — jako my, zajęły pocichu miejsce na strychu w nowym budynku przy jednem okienku. Stąd było doskonale widać Mościce, o co nam głównie chodziło.

Ale okienko było takie wąskie, a nas tyle. A żadna nie chciała ustąpić, nawet te młodsze, gniotłyśmy się więc „poczciwie.“

Siedziałyśmy na strychu już około godziny 3-ciej. Atak lada chwila nastąpi! Tylko czekać! Lornetujemy Mościce. Pod szeregiem drzew coś się ruszało, podobne do koni i żołnierzy. To pewnie oni. Syreny wyczekujemy z napięciem, prawie bez oddechu..

Ale minęła godzina 3-cia i 4-ta, — już i PP. Profesorki nas odwiedziły i rozweseliły trochę, już i od śmiertelnego znudzenia „Kota“ zaczęłyśmy się uczyć, bo na placówce został wiernie tylko IV kurs (ach ten IV kurs — on wszędzie wlezie!).

Uczymy się zapamiętale, tak na złość wszystkim, wtem... przez powietrze przedarł sie gwałtowny syk alarmującej syreny.

Krótki, długi... krótki, długi...

Podjęły groźną, przestraszającą melodję inne syreny; alarm objął cały świat!

Na widnokręgu za kominami Mościc ukazały się czarne, poruszające się punkciki.

To nieprzyjacielskie samoloty!

Mościce przykryły się białą mgłą przed okiem atakujących. Nic prawie nie było widać, tylko bliższe drzewa ciemniały sylwetkami na tem białem, powłóczystem tle.

Samoloty płynęły na Tarnów!

Trzy eskadry! I nasze miasto zaczęło się zasnuwać ową nieprzeźroczystą mgłą... Syreny alarmowały rozpaczliwie, granaty ręczne trzaskały co chwilę.

Samoloty nad nami! Wystawiłyśmy ciekawie głowy przez wąskie okienko, wbrew rozkazom i chciało się nam wiewać z radości ku nim chusteczkami zato, że przyjechały wkońcu, ale — to przecież wojna!

Tam w górze nieprzyjaciel! Lada chwila spadnie nam bomba na głowę... ale to nic, ryzykujemy i jeszcze raz spojrzałyśmy ku atakującym „niby“ samolotom. Te minęły nas i wpłynęły nad środek miasta.

Obserwacja ich dalsza była niemożliwa, bo przecież tylko jedno okienko miałyśmy i to teraz już w odwrotnej stronie.

Co chwila słyszałyśmy groźny trzask pękającej bomby! Spojrzałyśmy ostrożnie na ulicę. Pusto. Wymarło miasto. Wszystko, jak oszalałe, popędziło do domów na wrzask syreny: i dorośli ludzie i małe dzieci i krowy z paszy i dorożki. Wszystko! I znowu odbierałyśmy tylko wrażenia słuchowe, których potęga nie odnosiła odpowiedniego skutku, bo na strychu czułyśmy się bardzo bezpieczne.

Po jakimś czasie samoloty opuściły Tarnów naogół spokojnie.

Poszłyśmy do kościoła na ostatnie majowe nabożeństwo.

Na ulicach — niezwykły ruch. To auta, autobusy i ci, co szukają wrażeń.

Przy katedrze spotkałyśmy rzecz smutną: Dwie „pewukaczki“ z organizacji P. K. d. O. K. dźwigały z ogromnym wysiłkiem olbrzymiego chorego na noszach. I one w mękach. A ten chory taki ciężki. Biedne sanitarjuszki!

W kościele było pusto, jakgdyby po Tarnowie przeszła „morowa dziewica.“

Atak miał się powtórzyć w nocy.

Znowu przydługie oczekiwanie, wreszcie mała drzemka... Do świadomości wdarł się nagle potężny, a ponury głos syreny. Alarm! Światło zgasło. Na ulicach ciemno, w pokoju ciemno, a i w Mościcach ciemno. Jedna gęsta tajemniczość późnej nocy. Tylko głos syreny twardy i nieubłagany, szorstki i gniewny... a rozpaczliwy.

Pomocy!

Wdali błysnęło światełko! To jeszcze nie pomoc, to raczej zguba! Zgasić! Nic — tylko ciemno, głucha noc i w mieście słychać trzask karabinów maszynowych: „Tutu — tu — tu“, odpowiadajacych sobie wzajem i znowu wybuchających strzałem, to tu, to tam!

Samoloty się nie jawiły.

Ludność, która wyległa na dalekie ulice, wróciła przelękniona do mieszkania. Karabiny ciągle huczały!

Położyłyśmy się spać! Poprzez huk karabinów maszynowych przedarły się się znowu syreny jednym, długim gwizdem zmęczenia, ale i zwycięstwa odniesionego nad wrogiem.

Tarnów został ocalony! Zasnęłyśmy twardo, jak nigdy.

„Czarna.“

Wycieczka harcerska

Jesteśmy w „Dolinie św. Jerzego"

Rozsiadłyśmy się na polanie i podziwiamy cudny świat Boży. Wzrokiem obejmuję dolinę tonącą w zieleni i w jaskrawości gorącożółtych kaczeńców. Zbocza górskie, okalające ją zewszechstron obfitują w gęste krzewy ostrężyn i malin, w kępy młodych sosenek. Mała rzeczułka, o krętym biegu i srebrzystej wodzie, przecina polanę.

„Wszystko tu promienieje urokiem wiosny!

Tak miło i radośnie!

Z głębokiej zadumy wyrywa mię przeciągły gwizdek i równocześnie lekkie szarpnięcie za rękaw.

Biegniemy na zbiórkę.

Hufcowa wydaje rozkazy: „I drużyna gotuje obiad, III gra w siatkówkę z har...

Nie słucham dalej, lecz w myśli powtarzam uparcie: „Nasza drużyna ma zgotować obiad i to dla przeszło stu osób". — Nie czas jednak na rozmyślania — za godzinę będą druchny z menażkami szturmować kuchnię.

Szukamy odpowiedniego terenu. Wrzeszcie rozkładamy obozowisko kuchenne. Drużynowa rozdziela pracę. Mnie i Genie przypada rozrobić powidło.

Pod krzaczkiem ostrężyn zabieramy się do dzieła. W jednym papierku znajdujemy trochę powidła, w drugim troszeczkę, a w trzecim odrobineczkę — i to ma być dla 118 druchen!

Gena wsypuje cukier, ja wlewam mleko, a następnie całą tę mieszaninę ucieramy. Ponieważ mleka jest stanowczo zamało, dolewamy trochę wody. Praca nasza zda się na ukończeniu. Wtem zabrzmiał donośny głos drużynowej:

„Czy druchny powarjowały, taż tego powidła zaledwie dla 10-ciu osób. — Dolać wody!"

Spełniam coprędzej rozkaz.

Jeszcze... jeszcze... jeszcze... nalega energiczniej głos. Ze wzrastającem zdumieniem spoglądam na Genę, a ona zrezygnowanym wzrokiem patrzy na powidło. Wreszcie wybuchamy szczerym, niepowstrzymanym śmiechem. Powidło przybrało kolor i smak wody trochę skwaśniałej i mętnawej.

Niesiemy dzieło rąk naszych do kuchni.

„Cóż słychać z waszemi knedlami bułczanemi", pytam. „Już

jakby było gotowe, tylko widzisz, bułek są dwa duże garnki, a mąki tylko jedno kilo, pewnie harcerze wykradli nam resztę Zresztą nie przeszkadzaj, bo pomylę się w liczeniu ...ileż to wbiłam tych jaj, zdaje się 8... teraz 9, 10, 11, i t. d.".. „Tobie się zdaje" — myślę w duchu - 1/4 kopy już dawno minęłaś, lecz mniejsza o to, bodaj knedle będą dobre".

Idziemy z Geną dalej, zaglądamy do kotła. Wre w nim i kipi jakiś płyn, gdzieniegdzie wypływa mizerny grzybek. Od małych kuchareczek dowiadujemy się, że na zupę tę składa się woda, 10 grzybków i trochę soli. — Zbiera mię pusty śmiech.

Sama woda w dzisiejszym obiedzie!

Zajmuję miejsce palacza i z werwą dokładam suchych gałęzi do ognia. W tem poczułam kroplę deszczu jedną... drugą... dziesiątą. Niebo całe zachmurzone i zda mi się, że kłęby ciężkich czarnych chmur lada chwila spadną na nas.

Niebo przecina błyskawica, a równocześnie daje się słyszeć huk. Dreszcz mię przebiega, dokładam dalej gałęzi. Drobny początkowo deszcz przechodzi w ulewę.

Co robić? — ogień zgasł, pokrywek niema. Sama jedna na wszystko. Ach! bo i ta Gena gdzieś pod sosenką stara się uchronić przed zmoknięciem.

Potok wzbiera coraz bardziej, rozlewa swe zaborcze wody po równym brzegu — coraz szerzej — coraz szerzej.

„Pod płachtę namiotową!" — brzmi rozkaz drużynowej, a fala spieniona tuż.. tuż... pod stopy mi podpływa.

„Cóż ty! nie słyszałaś rozkazu, chcesz do nitki przemoknąć?" i Gena, — naturalnie ona — ciągnie mię przemocą z kuchni.

Zostawić tak wszystko?

„Namyślajże się więc jak ci to sprawia przyjemność" i moja towarzyszka, nie zważając już na mnie, ucieka czemprędzej.

Błyskawica — huk — straszne — brr. Odsuwam jeszcze jeden kocioł i biegnę co tchu do namiotu.

— — —

Z namiotu wychodzimy zmoczone, obryzgane błotem. Jedne druchny wykręcają z wody płaszcze, inne szukają swych czapek, plecaków i t. d.

Przypominam Geni nasz obiad. Biegniemy a raczej brniemy po błocie do kuchni.

Jakiż przedstawia się nam widok!

Otóż kotły i garczki ugrzęzły w kałużach błota, lub też zawisły na gałęziach. Z zupy, powidła ani śladu. Na rozszalałych, spienionych falach wyskakują bułki, — toną w głębinie i znów wypływają na wierzch.

Jednem słowem obiad porwała woda!

Podziwiamy teraz urok przyrody, przez którą przeszła żywiołowa burza. *„Jaśka."*

Dziady odporyszowskie

W drugi dzień Zielonych Świątek wybrałyśmy się na odpust do Odporyszowa.

Pomysł tej wycieczki powstał nagłe, tuż przed odpustem, tak, — że nikt o tem nie wiedział, tylko zadowoleni mocno z córek — — — — rodzice, no i my, nasza „hultajska czwórka," choć — o zgrozo — największe powagi IV-go kursu.

(Kto zresztą tam jest poważny?)

Ruszyłyśmy zakurzonym gościńcem, roześmiane, szczęśliwe, dwie z nas obarczone plecakami, wszystkie zaopatrzone w laski... a złociste słońce śmiało się do nas i rozśmieszało też przechodniów.

Idziemy w mundurkach harcerskich ale w czapkach z naszym znaczkiem S, bo reprezentujemy przedewszystkiem I. Prywatne Seminarjum N. Ż. im. Bł. Kingi.

Ujmy Zakładowi nie przyniesiemy!

Przewodnikiem mam być niby ja, ale właściwie drogi z Tarnowa nie znam.

Pobłądzimy więc? Oho — mamy doskonałą mapę! Byle tylko wyjść za miasto w pola, by odetchnąć świeżą zielonością naszych ukochanych pól.

Idziemy drogami polnemi, bo będzie krócej, a zresztą przyjemniej, a przedewszystkiem dlatego, że mamy mapę!

Spotykamy dziurawy, mocno dziurawy most na Żabnicy Małej. Nie dziw, to polna droga.

Śpiewamy sobie: „Uważajcie, dziura w moście, Byście które nie wpadłoście!", na dziadowską nutę.

Wiemy, że idziemy na odpust! Wiemy, bo przecież tam wdali już wychyla się ku nam z za ciemnej masy drzew jasna droga i odporyszowska wieżyczka kościoła.

Wnet oderwałyśmy się od brzegu Żabnicy i teraz miałyśmy ciągle przed oczyma jaśniejącą w słońcu wieżę.

Do Odporyszowa jeszcze z kilometr, na sumę nie zdążymy. Spotykamy ciągle wiatraki. Stare, może już nieczynne, a jednak stoją nieugięte na straży piaszczystych pól, jakby symbole głębokiego umiłowania ziemi przez polski lud.

Rozkładamy aparat, robimy zdjęcie!

Jesteśmy już w Odporyszowie!

Chwila odpoczynku w lasku, wytrzepujemy miałki piasek z butów, podciągamy pończochy, spuszczamy rękawy i spieszymy do kościoła. Ludzie po sumie już wyszli. Tem lepiej! Kościółek zupełnie pusty. Uklękłyśmy pokornie przed ołtarzem cudownej Matki Boskiej Odporyszowskiej —

Przyszłyśmy dlatego, by się właśnie tu pomodlić, tu przed znaną i ukochaną od dziecinnych lat Matką. I to było przedewszystkiem celem wycieczki. A modlić się trzeba gorąco... silniej, błagalniej i goręcej niż w dawnych latach, bo wiele się zmieniło, wiele serdecznych obowiązków tam czeka na nas w Tarnowie, a i siły muszą starczyć i praca owocna być musi, więc o pomoc trzeba błagać Marję...

Za Sodalicję, za inne organizacje, za tych co z pobliskich stron tu wyrośli, co tęsknią dziś może do szumiących kłosów zielonego żyta. — — —

Marja Odporyszowska nie zawiedzie!

— — — Udałyśmy się do lasku, by zgotować obiad.

Obiad miał być na kilka dań, ale zapomniałyśmy z domu herbaty i choć kociołek na nią był, zrezygnowałyśmy z niej.

Usmażyłyśmy jajecznicę. Za chwilę była gotowa. Powiadam, że była doskonała! Bez zapachu dymu! Coś tak wyśmienitego, że mimowoli zawołałam:

„Odporyszowskie piaski, góry, doliny, laski,
Chwalcie jajecznicę Stasi, bo doskonale pitrasi!"

Jeszcze jedno zdjęcie i odwrót!

Już godzina 5, a przed nami 20-to kilometrowa droga.

Ostatni raz rzuciłam okiem wokoło, przedzierając się oczyma przez gęstwinę dalekich lasów, ale nie zobaczyłam naszego kościółka gręboszowskiego, co tam — hen — wdali czeka na swą uczącą się młodzież, ani nie spostrzegłam bliższego kościółka w Oleśnie.

Na wakacjach się powitamy!

Ostatnia cicha modlitwa do Matki Bożej i raźna czwórka ruszyła do domu. Za nami został prześliczny zachód. Słońce zni-

żyło się za drzewa, jeszcze ostatnie, złote promienie wysyłało ku nam i kładło je dziwnie tęsknie i pieściwie na zielonych polach.

Powietrze było niezwykle jasne i czyste.

Na południu rysowały się na dalekim horyzoncie ciemną chmurą wysokie góry. Pierwszy raz je stąd widziałam.

Były to bezwątpienia Tatry!

W ten niezwykły wieczór wracała „niezwykła czwórka" znużona śmiertelnie fizycznie, ale na duchu dziwnie podniesiona i odświeżona czystym zapachem zbóż naszych równinnych pól.

Łącka Stefanja

Kronika

28 stycznia odbył się u nas tradycyjny „opłatek", połączony z wesołą zabawą. Poszczególne kursy przygotowały szereg niespodzianek, które wypadły bardzo dobrze.

30 stycznia Zakład nasz obchodził uroczyście imieniny P. Prezydenta Ignacego Mościckiego.

7 lutego hufiec żeński urządził opłatek harcerski.

18 marca obchodziłyśmy imieniny Ks. Dyrektora. W imieniu naszem przemawiała koleżanka Grzewińska, a w imieniu Ćwiczeniówki uczennica Wrześniowska.

19 marca uczciłyśmy imieniny P. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Na program uroczystości złożyły się: słowo wstępne kol. Kropczyńskiej, deklamacje, śpiewy i orkiestra mandolinowa.

3 maja w rocznicę Konstytucji majowej odbył się poranek w szkole. Referat kol. Dziedzicówny podniósł nastrój. Zachwycone byłyśmy śpiewem uczennic Ćwiczeniówki, a zwłaszcza małą dyrygentką.

5 maja odbył się w sali Sokoła I „kiermasz" harcerski.

8 maja była wycieczka całego hufca tarnowskiego na Górę Św. Marcina. Wycieczka była bardzo przyjemna, mimo, że wszyscy wrócili zmoknięci do nitki.

Również 8 maja wysłuchałyśmy referatu P. Tadeusza Bocheńskiego p. t. „2 godziny wśród poetów polskich". Prelegent zapoznał nas z twórczością najmłodszych poetów.

20 maja odbyła się I. Komunja św. dzieci ze Szkoły Ćwiczeń i akademja eucharystyczna.

7—9 czerwca odbyła się u nas matura pod przewodnictwem Ks. Dyrektora. Uroczyste pożegnanie maturzystek wyznaczono na dzień 19 czerwca.

8 czerwca kurs IV urządził wycieczkę naukową do Mościc celem zwiedzenia Państwowej Fabryki Związków Azotowych.

Nadto odbyły się wycieczki: I kursu do Krakowa i do Lubczy (na cmentarz wojenny), II kursu do Zawady i Tarnowca, III do Buczyny, IV do Dąbrów i wiele innych.

Obecnie czyni się ostatnie przygotowania do kolonji letniej w Ochotnicy Górnej i ostatnie próby „sobótki".

Na dyżur

Wokoło biało, radośnie... godzina wczesna. Uczenice zdążają do szkoły.

Nagle słychać... jakby uderzenia galopującego konia.

Oglądalą się — to ich koleżanka.

Zdziwione miny czekają na wyjaśnienie.

„Na dyżur!" — krzyknęła — biegnąc dalej.

Zrozumiano.

Och, ten dyżur! On wyciąga nas o całe 10 minut wcześniej z ciepłego łóżka. A dlaczego? Dlatego tylko, że naszemu kochanemu „Dziadziowi", (który nie wiem dlaczego wcześniej wstaje od nas), zechce się przyjść wczas do szkoły i zaglądnąć do klas.

Biedne są te uczennice. Dziadek często zapisuje je do swego „olbrzymiego" notesu. Gdyby on wiedział, jak te biedactwa się spieszą, to możeby nawet wymazał. Ale nigdy się o to nie zapyta. No, a też nikt mu o tem nie powie.

Jedna z drugą goni do szkoły, wpada do klasy, rzuca książki i krzycząc „Na: dyżur, bo Dziadek już idzie", pędzi do klasy, nie zamykając drzwi. Dobrze że niektóre zamykają się „sanie".

Tym podobne wypadki zdarzaja się dosyć często.

Ja jednak powiem, jak należy temu zaradzić. Bardzo łatwy i możliwy sposób. Niech tylko „Dziadzio" wstaje później, a będzie dla niego lepiej, a dla nas dobrze.

„Jedna z tych"

Z ostatniej chwili

Pożegnanie Maturzystek odbyło się dnia 19 czerwca o godz. 12. Dyplomy nauczycielskie otrzymały: Bednarczykówna Irena, Białotówna Janina, Bibrówna Rozalja, Borowcówna Janina, Boruchówna Wiktorja, Dulibanówna Józefa, Ettmayerówna Emilja, Gągolówna Marja, Gniadkówna Stanisława, Grysiówna Marja, Grzewińska Kamila, Juchnówna Marja, Kocołówna Eugenja, Kołodziejówna Wanda, Krzemińska Janina, Kubalanka Helena, Kudówna Jadwiga, Kwietniówna Janina, Lenczewska

Wanda, Łopatkówna Zofja, Łyczkówna Józefa, Małętówna Irena, Markiewiczówna Janina, Mirochnówna Anna, Olejarzówna Marja, Osakówna Czesława, Podoskówna Zofja, Passadynówna Janina, Radoniówna Aurelja, Radoniewiczówna Marja, Rydzówna Teofila, Saromówna Jadwiga, Stanuchówna Józefa, Stawarzówna Janina, Szydłowska Helena, Urbanówna Marja, Wojciechowska Marja, Wrońska Franciszka, Zającówna Helena, Zalewska Helena, Zdebianka Agnieszka, Żółtówna Kamila.

Idącym w świat z otuchą
Niech błogosławi Bóg!

W tym samym dniu było święto P. W. i W. F. — Nasz Zakład zdobył nagrodę — puhar, 2 żetony i 3 dyplomy.

Ogłoszenia

Rok szkolny 1931/32 zakończy się nabożeństwem dnia 28-go czerwca o godz. 8 rano.

W roku szkolnym 1932/33 będą otwarte 4 kursy Seminarjum, tj. II—IV i 4 oddziały Szkoły Ćwiczeń, tj. 1—4.

Wpisy do Seminarjum odbędą się dnia 28-go czerwca od godz. 10—11 rano. — Przy wpisach należy złożyć 30 Zł na potrzeby szkolne.

Wpisy do Szkoły Ćwiczeń dla oddziału 1 odbędą się dnia 27-go czerwca od godz. 4—5 po poł., dla oddziałów wyższych tj. 2—4 dnia 28-go czerwca od godz. 4—5 po poł. — Przy wpisie należy złożyć 5 Zł na pomoce naukowe.

Rok szkolny 1932/33 rozpocznie się nabożeństwem dnia 1-go września o godz. 8 rano.

Z Drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie, ul. Wałowa 4 Telefon 311